SZKICE HUMORYSTYCZNE.

I.



Ten co książki pisze.

NAUCZYCIEL CZAROWNIK.

(Wspomnienie młodości z życia małego miasteczka).

Jak skąpiec na widok złota rozjaśnia przymglony wzrok, wypogadza żółte pomarszczone oblicze, tak każden z nas na wspomnienie młodości, tych czystych i jasnych dni życia, zapomina przebyte cierpienia, obecne kłopoty, i z rozkoszą skołataną myślą błąka się po tym świecie ułudy i marzeń. Nieraz uśmiech szyderczy lub żartobliwy przemknie się po twojéj twarzy, kiedy wspomnisz tę dziecinną wiarę, naiwność lub młodzieńcze swawole; nie możesz pogodzić się z sobą aby obraz który kreśli się w twoim umyśle był z historji twe-

go życia poczerpnięty, takie małe i nierozwinięte kształty twego ciała nie zdają się do ciebie należeć, taki ubiór w niczem do obecnego niepodobny, a co najwięcéj ta naiwna wesołość i wiara nie są oddawna udziałem twéj duszy. Ale gdzieś w zakątku serca odszukasz powoli tę rozerwaną nić żywota, połączysz burzami życia rozpierzchnione wypadki, i jak z za mgły nagle wystąpi żywy obraz młodości i jasnemi barwami wszystkie przygody i dzieje odmalują się na tle twéj duszy. Czytelnicy, jednem takiem wydarzeniem podzielić się z wami zamierzam.

Było to w małem miasteczku, (dosyć wam tego aby pojąć jak ważne i ciekawe czeka was opowiadanie); po śmierci ś. p. Grzegorza Gadomskiego nauczyciela elementarnéj szkółki, naznaczony został i już od trzech miesięcy stale przebywał w Proszowicach na téj wysokiéj posadzie, Adam Młodzikiewicz. Trzy miesiące pobytu w małéj mieścinie, są aż nadto dostatecznym czasem do poznania na wskróś wszystkich mieszkańców i nawzajem być od nich poznanym, tymczasem p. nauczyciel siedział samotny, i z nikiem zupełnie żadnych nie zawiązywał stosunków, nic więc dziwnego że dawał powód do śledzenia każdego swego kroku i rozsiewania rozmaitych ploteczek, tem bardziéj że jako kawaler średnich lat, jakkolwiek nie wielką odznaczający się urodą, ale posesionatus był nie złym łupem dla starych panien, których zbiegiem okoliczności i ciężkich czasów mnóstwo jakoś natłoczyło się do Proszowic. Trzydziestopięcioletnie uważane tu były przez starsze a względne na swój wiek towarzyszki za dojrzewające, a szesnastoletnie i dwudziestoletnie traktowane jak dzieci, i z trudnością dopuszczane do towarzystwa tak poważnego grona jak cztery panny Chylińskie, córki po zmarłym urzędniku gorzelnianym, trzy siostry pani prezydentowéj, i dwie kassjera miejskiego, a nad niemi górowała dowcipem, złośliwością i wdzękami czterdziestoletnia cioteczna siostra ks. proboszcza, opiekuna elementarnéj szkółki. Związane ściśle jednem mianem, które wiek im nadawał, spokrewnione lub zostające w stosunkach przyjaźni z najwięcéj wpływowemi osobami miasteczka, nic dziwnego że wyrzuciły sekretarza Gradomskiego aby posadzić w jego miejscu starego kawalera, wysłużonego kancelistę Magistratu Szymona Załęskiego, jedyną muzykalną w mieście osobę, który wzamian odśpiewywał kolejno przed oknami dostojnych pań serenadę na hiszpańskim instrumencie. Do łez pobudzane przez tkliwe treny w Filonie, zasypiały rozmarzone, a jeszcze basowy głos sekretarza grzmiał na finał przed oknami „ty będziesz panną, ty będziesz panną w tym nowym dworze, a ja....” Te i tym podobne zwycięztwa ligi starych panien, zjednały im niepospolity wpływ na sprawy małego miasteczka, tak iż każdy nowy przybylec nasamprzód musiał u nich szukać uznania, opieki i poparcia. Tymczasem nauczyciel nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć o istnieniu w miasteczku tak wszechwładnego stowarzyszenia, które mogło nawet i o jego losach stanowić, ale siedział uparcie, samotny w domu nie domyślając się zapewne że panna Fluwianna, najstarsza siostra kassjera, wie o jego stosunkach z Herszkiem handlarzem materjałów pismiennych i o jego wieczornych wizytach u nauczyciela, a pannie Melanji nie obce są jego tajemne także wieczorne przechadzki do pobliskiego lasu, ale najważniejsze odkrycie zrobiła cioteczna siostra ks. proboszcza, gdy raz wypadkowo wieczorem przechodząc około mieszkania nauczyciela, spostrzegła w jego kuchence ogromny gotujący się na kominie kocioł, z którego czarna obficie wydobywająca się para, zaledwie dozwalała jéj dojrzeć tuż stojącą postać nauczyciela. Zebrawszy te dane liga starych panien pod przewodnictwem sekretarza magistratu Załęskiego, nie wahała się jednomyślnie uznać nauczyciela czarownikiem, mającym zapewne stosunki ze złemi duchami, które według ich przekonania dosyć często nawiedzały poczciwe Proszowice. Wieść ta szybko rozniosła się po całem miasteczku które trzęsło się od zgrozy i przestrachu na myśl że w swem łonie utrzymuje tak niebezpiecznego człowieka.

Mieszczanki gromadziły się licznie przed domami, żywo rozprawiając o tem odkryciu, ba! bo i wszystko przemawiało za jego wiarogodnością, stara Janowa Czubalska, właśnie od czasu przybycia nauczyciela zauważyła, że wszystkie krowy przestały jéj mleko dawać, a Wercińska szewcowa od tego właśnie czasu datuje pierwsze pocięgle jakiemi szanowny małżonek codziennie odtąd raczy jéj grzbiet obdarzać, a ba, bednarzowa Połańska, przysięga najuroczyściéj, że od dnia przyjazdu nauczyciela mąż jéj zaczął na nowo pić gorzałkę, słowem wszystkie nieszczęścia jakie od trzech miesięcy spotkały mieszkańców Proszowic spadały gradem na kark nauczyciela. Niektóre nawet bogobojnym duchem przejęte mieszczanki, zamierzyły odebrać ze szkoły swe dzieci, które w tym względzie szczególniéj im dopomagały, objawiając że ten nauczyciel zaraz spostrzeże jak się którykolwiek z nich schowa pod ławkę. — Wszak tylko moja mamuniu przez czary w ciemnym miejscu widzieć można, mówił Jacko Puchalski, największy urwis ze szkoły, który za swoje psoty i od nowego nauczyciela kilkakrotnie był karany. Zewsząd tedy nad głową nauczyciela groźna gromadziła się burza, bo nawet ks. proboszcz najdłużéj niedowierzający rozsiewanym wieściom, uległ pod wpływem jasnych dowodów

jakie nie szczędziła mu najukochańsza siostra przedstawiać, i rzekł raz znudzony.—Być może, być może, są o tem wzmianki w piśmie świętem. Co jednakże dziwiło wszystkich, że Załęski sekretarz, który z początku najwięcéj był nieubłagany względem nauczyciela, teraz głębokie zachowywał milczenie, i wszystkie pogróżki, obelgi i potwarze jakie sypały się gradem, potwierdzał obojętnem tylko kiwaniem głowy. Nikt nie wiedział co się działo w duszy sekretarza, nikt nie wiedział że panna Bibijanna od dwóch lat przyrzekła swą rękę sekretarzowi, pod warunkiem, że się wyleczy ze szpecących mu ręce i twarz liszai. Leczenie szło mu jakoś nie skoro, i warunek p. Bibijanny był mu dotąd nawet na rękę, bo ksiądz proboszcz, cioteczny brat p. Bibijanny, przy każdéj sposobności najsolenniéj go zapewniał, że nie posiada zupełnie pieniędzy, ale w tych dniach właśnie widział sekretarz na własne oczy przyniesione przez p. Bibijannę z proboszczowego biórka dziesięć tysięcy złotych. Był już tedy pewny posagu, ostateczny cel marzeń i szczęścia sekretarza mógł być natychmiast urzeczywistniony, gdyby ten przeklęty warunek nie stał na zawadzie, a zresztą i to bezustanne swędzenie przy dokuczliwych liszajach uśmierzać, w obec płci pięknéj uważał stary kawaler za rażącą nieprzyzwoitość, do tyla zatruwały mu życie, że w obec pewnego posagu postanowił jakim bądź sposobem pozbyć się jak najprędzéj niegodziwych wyrzutów. Ale doktorom sekretarz nie ufał, bo kilkakrotnie zalecane przez nich lekarstwa zawsze więcéj zaogniały mu liszaje, i zresztą był pewien, że to owczarz którego raz kazał obić w odwet uraczył go tą chorobą; dla tego usunięcie jéj przez czary uważał za pewniejszy i najskuteczniejszy środek, tem bardziéj że często słyszał o cudownych skutkach takiego leczenia. Zadumany i roztargniony przyszedł sekretarz do magistratu, surowo rzucając spojrzenie na oczekujących go pokornie policjantów.

— Słuchaj Gawiński, rzekł do stojącego obok policjanta, czy Herszko ten handlarz co to ma konszachty z nauczycielem, przesiedział tak jak rozkazałem cały szabas w kozie.

— Siedział i klął na czem świat stoi wielmożnego pana, odrzekł zakłopotany policjant.

— Hum, dziś z nim inna sprawa, mruczał sekretarz, przyprowadź go tu natychmiast.

W kilka minut z pokorną miną tając w duszy śmiertelną trwogę stał Herszko przed obliczem wszechwładnego sekretarza; posiadał on w Proszowicach jedyny skład materjałów piśmiennych, przy sklepie ze starem żelaztwem, a że nieszczęście mieć chciało że posiadał także bileta z powinszowaniem Imienin w różnych gatunkach, począwszy od prostego napisu, aż do ozdobnych z aniołkami trzymającemi wieńce w darze solenizantkom, w krótkim czasie naraził sobie sekretarza, którego liczne stosunki przyjaźni z płcią piękną miasteczka, zmuszały często żądać od handlarza tego rodzaju podarunków, nie tylko na imieniny różnych osób ale i na Nowy rok. Sprzykrzyły się żydowi te ciągłe żądania, i ostatnią razą na ś. Pucherją (patronka pani prezydentowéj), wręcz sekretarzowi biletu odmówił, ztąd wzajemna nienawiść, która rozpoczęła się bardzo niepomyślnie dla żyda, bo już raz za jakąś bagatelę cały szabas przesiedział w areszcie.

— Słuchaj Herszko, po długim namyśle odezwał się tonem uroczystym sekretarz, wiem że wszedłeś w djabelskie konszachty z tym czarownikiem nauczycielem, wiem że wieczorem coś tam razem smarzycie czy gotujecie jakieś zioła czy ludzkie mięso, wiem że wychodząc od niego coś zawsze ukrywasz pod swoim szlafrokiem, czy wiesz, że za takie sprawki ciągnął daléj groźnie możesz być publicznie spalony?

— Jakto, odrzekł zdziwiony Herszko, ja nie mam własnego domu, to Arona co ja u niego mieszkam niech wielmożny pan spali; jest fajerkassa.

— Głupiś, przerwał sekretarz, ty sam będziesz spalony.

— Co w. p. mówi, czy to ja smolne drzewo, abym się miał palić, lub oléj, dorzucił uśmiechając się Herszko.

— Nie wykręcaj się żydzie, są świadkowie i kwita, przerwał zniecierpliwiony sekretarz, zresztą, tego wszystkiego można uniknąć jednem sposobem, ale nim ci go wyjawię przyrzecz że dotrzymasz tajemnicy.

— Wielmożny pan miewał przecież z Herszkiem interesa, czyż kiedy od niego nawet przy śledztwie co się dowiedziano, odrzekł żyd zaciekawiony.

— Oto przed kilku laty przez zemstę owczarz zadał mi chorobę, te przeklęte liszaje. mówił sekretarz, pokazując obnażone ręce Herszkowi, leczyłem się już nie raz, wszystko bezskutecznie, potrzebuję teraz w jak najkrótszym czasie pozbyć się tych wyrzutów, powiedz mi tedy otwarcie czy waszemi czarami nie mógłbyś mi ich usunąć, a nie tylko, że włos ci z głowy nie spadnie, ale będziesz miał ze mnie zawsze najgorliwszego obrońcę.

— Dla czego nie, odrzekł Herszko po chwili namysłu, moja córka Ryfka co ma iść za mąż, takąż samą miała chorobę, i różne doktory i rabiny nic nie pomagali, a teraz już dobrze, już wszystko przepadło.

— A to jakim sposobem, zapytał sekretarz.

— No wielmożny pan wykąpie się w téj wodzie co my z nauczycielem gotujem przez 7 kwadransy, będzie wielmożny pan obsychał, bo obcierać się nie można i natem koniec.

— A kiedyż to będzie można zrobić, pytał uradowany sekretarz, że taką bagatelną kuracją pozbędzie tak upartéj choroby, bo widzisz chciałbym jak najprędzéj i to tak, aby nauczyciel o tem nie wiedział.

— No to jutro wieczorem ja już tak zrobię że go nie będzie, odrzekł Herszko.

— Dobrze, mówił sekretarz klepiąc po ramieniu żyda, a więc jutro gotów jestem poddać się waszym czartowskim próbom.

Nazajutrz po owéj umowie sekretarza z Herszkiem, po południu ogromne wzburzenie panowało w Proszowicach, najpiękniejsza krowa Janowéj Czubalskiéj wracając z paszy zdechła, naprzeciwko mieszkania nauczyciela.

— Bardzo naturalnie, mówili wszyscy, którzy zebrali się nad ciałem nieboszki dla oddania jéj ostatniéj usługi,—to jego muszą być sprawki wskazując na mieszkanie nauczyciela.—Dłużéj tak być nie może, bo kara boska przyjdzie na nas i wszystkich nas ten czarownik zgubi, wspólnie głośno i jawnie złorzeczyli nauczycielowi.

Głuche wieści dochodziły nauczyciela o jego wspólnictwie z djabłem, z uśmiechem je dotąd i obojętnością przyjmował; lecz jak zauważył, siedząc wieczorem w oknie, że przechodzące koło jego mieszkania kobiety ze strachem się żegnają i bełkocą jakieś niezrozumiałe słowa, jak widział małe dzieci uciekające przed niem i krzyczące w niebogłosy: djabeł czarownik idzie! i gdy teraz groźne okrzyki i przekleństwa tłumu zebranego naprzeciwko jego mieszkania dochodziły jego uszu, zląkł się bardzo i posłał natychmiast po Herszka na wspólną naradę.

— Trzeba zaprzestać naszéj fabrykacji, rzekł z goryczą do wchodzącego Herszka, widzisz rzekł wskazując ręką na zebrane naprzeciw jego mieszkania tłumy.

— Ny, ja wiem rzecz całą, ja panu z początku mówił, nie trza z tego robić sekretu, czego się wstydzić poczciwą pracą zarabiać na kawałek chleba? No koniecznie trzeba abyś pan dziś wieczorem, jak się ludzie porozchodzą poszedł do p. burmistrza i zaprosił wszystkie przedniejsze osoby, pokazał i wytłumaczył rzecz całą, to wszystko będzie skończone. O to korzystny interes!—Całe towarzystwo wyborowe miasteczka prócz sekretarza zebrało się wieczorem u p. prezydenta, naturalnie rozprawiano o dzisiejszym fatalnym wydarzeniu, wszystkie panie jednomyślnie potępiały nauczyciela, gdy w tem niespodzianie we własnéj osobie przedstawił się zgromadzonéj publiczności okrzyczany czarownik, nauczyciel Adam Młodzikiewicz. Nagłe to jego zjawienie się przecięło ciekawe domysły panny Bibijanny, i ogromnym zdumieniem przejęło całe szanowne zgromadzenie. Nauczyciel bez ogródki opowiadał, że od lat kilku nie mogąc utrzymać się ze szczupłéj pensji, powziął myśl wyrabiania atramentu i w celu łatwiejszego zbycia zawiązał stosunki z Herszkem, który jego atrament rozsyła po okolicznych miasteczkach.

— Spostrzegłyśmy tę różnicę w dobroci pańskiego wyrobu, rzekła panna Bibijanna, ale nie wiedzieliśmy komu mamy dziękować, dodała z przymileniem się. Nauczyciel głębokim ukłonem dziękował za sypane mu zewsząd komplementa, i tak swoją uprzejmnością prędko zjednał sobie serca całego towarzystwa, że na uczynioną propozycję ze swéj strony o natychmiastowe przekonanie się na miejscu, wszyscy jednomyślnie się zgodzili, a pierwsza panna Bibianna oceniając praktyczność pomysłu nauczyciela postępowała na czele całego towarzystwa, które już późno wieczorem, stanęło przed mieszkaniem nauczyciela; usłużny Herszko z dwoma zapalonemi świecami oczekiwał dostojnych gości w sieni i bezwłocznie wprowadził do ciemnéj kuchni nauczyciela. Na wielkim kominie stał miedziany kocioł, a w nim o dziwo! kąpał się sekretarz, z rozkoszą oblewając wielkim strumieniem czarnego płynu miejsca najwięcéj dotknięte chorobą! osłupiał z przestrachu, zdziwienia i wstydu na widok tylu znanych sobie twarzy, nie spostrzegł nawet chociaż przy świetle koloru swego ciała, i z rozpaczy bezwiednie napełniwszy atramentem obok stojącą konewkę szerokim strumieniem lunął na zdziwione również stojące przed nim towarzystwo. Było to dla wszystkich hasłem odwrotu, każdemu potrosze się coś tam dostało, pannie Bibijannie ufarbowano nową suknią różową i pół twarzy, panna Melanja poczerniła sobie rękawki i trzy palce u prawéj ręki, a pannie Urszuli jak utrzymywała, od tego wypadku poczerniały zęby i pruchnieć zaczęły. Lecz najniepomyślniéj ten dramat skończył się dla Herszka, bo sekretarz za ohydną jego zdradę dwa sądne dni trzymał go w areszcie, nie licząc już szabasów. Wyleczył się wprawdzie, nie wiem czy po kąpieli z liszai, ale na zawsze utracił serce panny Bibijanny i łaskę u całéj ligi, miejsce jego zajął nauczyciel, któremu o ile z łatwością przyszło przekonać znakomitsze osoby o swojéj niewinności, o tyle u prostego ludu długi czas nie mógł się pozbyć miana czarownika. Wiele rozpowiadano o tem, jak gotując w kotle sekretarza, przemienił go w djabła, i do dziś wielebyś znalazł poczciwych mieszczanek w Proszowicach, któreby pod przysięgą nawet zeznały że widziały na własne oczy ogon i rogi u ś. p. sekretarza Załęskiego.

Grójec, dnia $^{21}/_{6}$ *1867.*,

PRZEGLĄD LITERATURY.

Pół djable weneckie, powieść od Adryatyku przez I. J. Kraszewskiego. Kraków 1866.

Zmienne upodobania czytającego ogółu do pewnych gałęzi literatury, objawiające się już to w nadmiernym spożywaniu utworów fantazji czyli tak zwanéj *belletrystyki,* już téż w namiętnem schlebianiu utylitaryzmowi pod formą wydawnictwa książek treści praktyczniejszéj — jest zawsze oznaką pewnéj niedojrzałości w sądzie i zapatrywaniu się na umysłowe życie narodu. Był czas, kiedy u nas żywiono się przeważnie powieściami, a książka treści naukowéj nie wielu znajdowała zwolenników. Nadeszła potem epoka wydawnictwa dzieł przyrodniczych, a szpalty gazet przepełniły się dyatrybami przeciwko literaturze lżejszéj. Każdy ktokolwiek choćby jeden rozdział dzieła poważniejszego przeczytał, już czuł się powołanym do wyrzekania na zgubny wpływ powieściarstwa. A ponieważ łatwiéj jest gawędzić o konieczności utylitarnego kierunku literatury i górnolotnemi frazami pokrywać płytkość poglądu na rzeczy — aniżeli coś dobrego i przystępnego dla ogółu napisać, nic więc dziwnego że w ostatnich czasach wyrobiło się między niedowarzonemi a zarozumiałemi pozytywistami mniemanie, że trzeba raz na zawsze położyć koniec powieściarstwu odjęciem wszelkiego prawa do zasług pisarzom, którzy sobie tym rodzajem literatury zdobyli zaszczytne imię i współczucie ogółu. Pomijając już to że ludzię zkąd inąd w świecie naukowym znani, jak np: we Francji: Cherbuliez, About, etc, sami hołdując praktycznym celom—uznali jednak wartość powieści wprowadzaniem w jéj osnowę głębszych kwestji ubocznie niejako obznajmiających ogół z surowszą stroną życia — pozostaje niezbity pewnik, że do wszechstronnego kształcenia umysłu, i szczepienia szlachetnych, zdrowych pojęć o powołaniu człowieka *jako człowieka*— dobre powieści na równi z poważnemi naukowemi traktatami dzielnie przyczyniać się mogą i przyczyniają.

Zbawienny wpływ podróży na kształcenie umysłu jest niezaprzeczonym. Poznawaniem nowych charakterów, stosunków, zwyczajów i obyczajów rozszerzamy widnokręg naszych pojęć, pozbywamy się ciasnoty i zaściankowości wyobrażeń, uczuwamy potrzebę odmiany tego co się przeżyło, a wprowadzenia natomiast czynników, mających wyprobowaną przez innych żywotności siłę. Powieść napisana z talentem, zasobna w obrazy postaci i stosunków sympatycznych, zasilona skarbem doświadczenia jest także dla umysłu czytelnika rodzajem podróży. Przenosi go w świat inny, obznajmia z tem czego niedoznał a doznać może, odrywa od poziomu zwykłych stosunków i wskazuje mu świat nowy, nową sferę uczucia lub myśli.

Z tego punktu widzenia uważana powieść, jest niezaprzeczenie silnym czynnikiem oświaty. Piękno i bogactwo danéj literatury zarówno się mierzą ilością i jakością utworów fantazji jak i rozumu, (choć oba te czynniki umysłowości zarówno w jednéj i drugiéj sferze literatury w ścisłem skojarzeniu się znajdują i znajdować się winny). Negowanie zatem tyle wpływowego czynnika, jakim jest dział belletrystyczny w literaturze, dowodzi płytkości wyobrażeń i niepojmowania rzeczywistych podstaw tak zwanego pozytywizmu.

Te uwagi nasunęły się nam na widok nowéj powieści Kraszewskiego, któréj krótką ocenę podać tu zamierzamy. Kraszewski od lat czterdziestu blisko zasila nas corocznie kilku powieściami, a współczucie jakie w massie czytelników budzą, zamiast słabnąć, coraz staj• się żywszem. Nie ma dziś między nami człowieka mającego jakąkolwiek choćby pretensję do ukształcenia, któryby powieści Kraszewskiego nieznał, jeśli nie w całkowitym szeregu w jakim po sobie następowały, to przynajmniéj w znacznéj liczbie rozgłośniejszéj wziętości. Już obfitość ich sama dochodząca rozmiarów niepośledniego księgozbioru jest faktem zastanowienia godnym, jeśli zważymy, że jeden człowiek jest jego twórcą. Zdumiewano nad płodnością umysłu Dumasa, który jeden tylko, biorąc pod uwagę li ilość tomów, dorównywał pod tym względem Kraszewskiemu — lecz zagadka przestała być nierozwiązalną od czasu jak się przekonano że na wielu okładkach imię tylko Dumasa jest rzeczywistem, a treść z pod innego wyszła pióra. Lecz pominąwszy ilościową stronę utworów Kraszewskiego, zadaliśmy sobie zapytanie, jaką korzyść wyniosło społeczeństwo z konsumcji powieści naszego autora, czy się wzbogaciło doświadczeniem i obserwacją, czy w obrazach wysnutych bądź to z przeszłości, bądź z teraźniejszości, znalazło wierne odbicie swoich przywar i przymiotów. Faktem jest nie zaprzeczonym nawet przez niechętnych autorowi, że Kraszewski pierwszy wdrożył w ogół zamiłowanie do literatury swojskiéj, że go obeznał z typami i postaciami czysto miejscowéj natury, że w czasie nierozjaśnionych jeszcze pojęć o konieczności krzewienia między ludem oświaty, on ponętnemi obrazami Ostapów Bondarczuków oswajał z tą myślą.

Wydana pod oryginalnym tytułem: „Pół djable Weneckie" powieść, obok zalet formy i języka odznacza się siłą uczucia nieraz do

łez czytelnika poruszyć zdolną i dramatyczną osnową. Osią około któréj się obraca jest ciche a potężne uczucie tęsknoty „nostalgją” przez Greków zwane, a które ten tylko odczuć może kto choćby raz, oddaliwszy się z miejsc rodzinnych, bez nadziei prędkiego powrotu, pędził żywot samotniczy, oddany jedynie myślom o swoich. Zdarzyło się piszącemu te słowa zabrać raz na uniwersytecie Lipskim znajomość z pewnym Szwajcarem. Dziwiła nas zawsze jego ponura obojętność na wszystko co się w około niego działo. Uśmiechnięte i rozjaśnione oblicza Niemieckich kolegów zdawały się go jeszcze większą napawać tęsknotą. Dopiero w chwilach gdy pogrążony w zadumie siedział przed obrazami swego współziomka Calame'a przedstawiającemi widoki gór szwajcarskich—tęsknota ta ustępowała miejsca rzewnéj szczęśliwości wylanéj na rozpromienionem obliczu. Biedny ów Szwajcar cierpiał na nostalgiczną chorobę.

Bohaterem powieści Kraszewskiego jest Konrad Lipiński, potomek włoskiéj rodziny *Lippich*, którzy za dawnych czasów otrzymali w Polsce indygenat szlachecki i zespolili się z tą ziemią na zawsze. Młody Konrad zaprawiony na czytaniu dzieł Petrarki i Ariosta, po przebyciu burzliwéj epoki barskiéj, osiadł na swym zagonie ale obdarzony tkliwem uczuciem, przytem marzyciel, jak wszyscy bohaterowie Kraszewskiego, wybrał się raz w podróż z chłopakiem swoim Maćkiem do Włoch, chcąc przyjrzeć się zbliska ojczyznie swoich naddziadów. W téj to podróży poznał Konrad młodę dziewczę Cazitę, córkę kapitana statku i jak się domyślacie, rozszalawszy się w niéj pojął ją za żonę. Maciek znowu, dziwnym trafem, zdybał starego szewca Polonusa w włoskiem mieście osiadłego i zaczął stroić koperczaki do jego córki. Tu rozpoczyna się dramat. Konrad zostawiwszy Maćka we Włoszech wiezię swą Cazitę do Robnina, lecz ta nie mogąc przywyknąć do szarego naszego nieba zaczyna więdnąć z tęsknoty za lazurami Adryatyku. Widząc smutną odmianę w Cazicie, biedny Konrad ze łzami w oczach żegna swój ulubiony Robnin, wiezie Cazitę w rodzinną stronę, gdzie też wkrótce doznaje od niéj bolesnego zawodu i sam z tęsknoty za krajem traci siły i ostatek zdrowia. Nielepsze jest położenie biednego Maćka. Czując zgon bliski, rozwesela się biedny Konrad rozmowami z nim o ziemi swojéj, lecz nostalgja przechodzi w paroxyzm i ratunek wszelki daremny.

Scena ostatnia tego dramatu pełna uczucia i potęgi obrazowania, kamienne serce nawet do łez poruszyć może.

Konrad powlókł się do łóżka, Maćkowi kazał obrazek Najświętszéj Panny z ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał, a kiedy niekiedy łzy mu poszły z powiek; to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił... Nareszcie skinął na Maćka i kazał mu przyprowadzić znajomego sobie księdza kapucyna. Maciek spojrzał panu w oczy niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął. Przez ten czas Konrad drżącemi rękami przeodział się w bieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i postawę weselszą i czekał na spowiednika. Po odbytéj spowiedzi i wyjściu księdza wcisnął się Maciek i siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak, bydełko powróciło z paszy. Pukała obszedłszy obory, idzie, zdrowaśki mrucząc, na folwark do wieczerzy... Stefanek poszedł też pewno okiennice pozamykać we dworze, a na plebanji księżyna odmawia brewiarz. Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcéj śni!

— No, już chyba więcéj nic nie wiem... żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały... Burek chodzi i burczy... cicho! cicho! tylko ode młyna turkot słychać jak tam koła szumią i turkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... na Anioł Pański dawno przedzwonili...

— A we dworze? spytał Konrad. Pustka panie.

— Zegar idzie? O, ten to się nie zająknie pewno.

— Która godzina? Ciemno dobrze, ino nie wiem, dodał chłopak czegoś przelękły, czemu oni nie powracają.—Mów o Robninie, poprawił go Konrad. Może świecę zapalić? Tak, dobrze, słabym głosem zawołał Konrad; przed Najświętszą panną zmówimy litanją. Ale spojrzno czy nie wracają; albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu blado wydała się twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i twogę w duszy. Nastawił ucha, myślał że posłyszy plusk przybijającéj do brzegu gondoli, ale do koła cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać. Na palcach chodził Maciek koło niego. Powieki podniosły się ciężko.

— Maćku, rzekł, co tam w domu? Śpią panie. Chłopak przysunął się do łóżka, Konrad chudą kościstą rękę dobył z pod okrycia, poszukał w koło i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, rzekł, abyś miał o czem powrócić do domu.

— A! mój panie drogi, przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł, i daj mi rękę, dziękuję ci... niech Bóg ci szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy począł szlochać i ukląkł przy nim.

— Co się ty tam trwożysz, szeptał Konrad, niema czego. Jam zdrów, mnie już dobrze, tylko mi się bardzo spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... po cichu... ja się zdrzemię.

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się, a pan mówił daléj:

— Słuchaj, co tam stanie się zemną, w woli Bożéj, jeślibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużéj, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepiéj, nawet z samotnością i nędzą... Porzuć swego starego albo go zabierz z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I w chwilę potem było głuche milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, ale oddech ten coraz cichł i ustawał, aż uleciał razem z duszą Konrada...

Oto jest szkielet powieści, pełnéj najtkliwszych uczuć i tego ciepła serdecznego jakiem wszystkie prawie utwory Kraszewskiego się odznaczają. Ostatnie powieści jego wykazują wyraźny zwrot w kierunku, od którego wcześniejsze jak np: Kopciuszek, nieco odstąpiły. Piękna strona życia, obrazowanie uczuć tylko przez bacznego psychologa dostrzeganych— oto najgłówniejsza zaleta utworów naszego pisarza. Potężny jego nastrój podnoszący się niekiedy do potęgi eposu jak w Anafielasie i Caprei i Romie, niemniéj cudownie odbija się w obrazkach sielskich, roztkliwiających duszę jak obrazek Carola Dolce. Ów naturalny potok słów bez żadnego wysiłku, ani śladu sztucznego zachwytu do serca czytelnika płynący, pozostawia wrażenie dawno prześnionych czy na jawie widzianych obrazów, które napróżno usiłujesz przywołać napowrót do myśli. Po zamknięciu książki czujesz żeś na chwilę oderwał się od poziomu życia, żeś błądził po obłocznéj krainie marzeń — bezdennéj i bezgranicznéj jak wieczność sama i że to czegoś doznał było tylko bezpowrotnem złudzeniem! *Al. K.*

BOHATERSTWO DNI NASZYCH.

(OBRAZEK ŻYCIA WARSZAWSKIEGO)

napisany przez Stanisława Gargulskiego.

(Dalszy ciąg).

III.

U pani Janowéj.

Od czasu wyprowadzenia się pani Piotrowéj, siostra jéj z córką zamieszkiwała ciągle w tym samym domu przy ulicy S-to Jańskiéj na drugiem piętrze od podwórka, gdzie po przyjeździe swoim z prowincji obie siostry z dziećmi swemi zamieszkały.

U pani Janowéj przez ciąg lat kilku nic nie zaszło godnego obszerniejszego opisu. Dzień za dniem płynął jednostajnie, rok po roku Kasia przechodziła do wyższéj klasy pensji prywatnéj, aż wreszcie ukończyła pensję i przez ten czas stała się dorosłą panną Katarzyną.

Pani Janowa nie miała żadnych kłopotów pieniężnych, każdego kwartału wyrabiała sobie kwit emerytalny i odbierała z kassy swoje 250 zł. emerytury; każdego półrocza odcinała kupony swoich listów zastawnych przynoszących jéj 400 zł. rocznie a robótki ręczne także coś dodawały. Pani Janowa miała także bileta bankowe w swojéj staréj książce do nabożeństwa i spory węzełek rubli i pięciozłotówek. W początkach ten zasobik był nietkniętym, ale powoli rosły różne toaletowe wymagania panny Katarzyny. I raz z téj książki, to znów z węzełka brało się potrochu; co starszy papierek, co nie tak wyraźna pięciozłotówka. I czerpało się od czasu do czasu, aż wreszcie na fortepjanik wybrało się resztę ze staréj książki do nabożeństwa, a sztuk kilkanaście pozostałych w węzełku, zsypano do woreczka.

Tak więc i u pani Janowéj nie myślano już o staréj książce i o węzełku, ale tu w zamian brzęczał fortepjanik Bucholtza, choć stary ale dobry; ale tu była panna, to téż było wesoło.

Panna Katarzyna po wyjściu z pensji, wykończała jeszcze swoją edukację w sposób

bardzo lekki; dla rozrywki czytywała romanse polskie, dla wprawy (w języku francuzkim), czytywała romanse po francuzku.

Jeszcze przed ukończeniem pensji i po wyjściu z niéj, panna Katarzyna dzieliła swój czas między wiele zajęć. W adwencie i w karnawale brała lekcje tańca, chodziła z mamą

II.



Pierwsze książki.

na kompleta, brała lekcje na fortepjanie, i czytywała książki jakie tylko miała pod ręką.

Czytanie książek bez wyboru wzburzyło jéj młodą główkę.

Bywały wypadki, iż piękne czytelniczki upojone wymarzoną duchowością romansowych ideałów, stawały się gorszącą cielesnością w smutnéj rzeczywistości. Czytaliśmy w dziennikach francuzkich, jako jedna panienka zamożnego domu przesiąkła czerpaną z romansów żądzą poświęceń chciała jakiegokolwiek wybrańca z gminu wywyższyć aż do siebie, uczynić go duchową istotą i oddać się mu, aby w zamian poświęcenia z swéj osoby posiadać istotę która wszystko byłaby jéj winną. Wybor padł na parobczaka palącego w piecach pałacowych, a tem samem i w pokoiku téj panny. Prelekcje o duchowości i poświęceniu wywołały skandal, a ztąd proces powiadamiający świat cały o zaszłym fakcie.

Lecz niebezpieczeństwa na jakie wystawieni są możni dla zbytków, są nie tyle dostępne dla średniéj klasy zamożności z powodu ich ograniczonych dostatków. I tu również oko mamy nie opuszczające nigdy córkę, zdolne było rozwiać wszelkie chmury nagromadzone w jéj umyśle przez bajki romansowe — wreszcie poznanie pana Atanazego, owego od-

wrotnego bieguna idealicznych wyobraźni panienki, mogło także skutecznie podziałać na zmianę jéj charakteru.

Ale nie uprzedzając wypadków, przypominamy tu, że panna Katarzyna była piękną i w dodatku posażną. Wieść o listach zastawnych jéj matki z liczby dziesięciu tysięcy wzrosła na sto.

Co do majątku, drugie piętro tego domu przy ulicy Ś-to Jańskiéj było okrzyczanem. Od podwórka mieszkała pani Janowa ze swemi jakoby sto tysięcami w listach zastawnych—od ulicy zajmował jeden duży pokój jakiś pan radzca, stary kawaler, słynny skąpiec, który powinien był posiadać ćwierciami srebro, a kwartami złoto. W małym pokoju także od ulicy mieszkał znów niejaki assesor także stary kawaler, który dla *omnia tria perfectum* miał opinję wielkiego bogacza i skąpca. Dwie te opinje zawsze w parze chodzą.

O panu radzcy późniéj powiemy. Na dobie tylko chcemy nadmienić, że drugie piętro słynne z zamożności, zwróciło na siebie uwagę trzeciego piętra. Na trzeciem piętrze mieszkał w pokoiku przy familji niejaki pan Zefir, aplikant kancellaryjny przy Trybunale. Ten starał się o wstęp do domu pani Janowéj—ale wpierw jeszcze starał się o wstęp pan asesor. Asesorowi poszło to łatwo, już dla wieku swego, już też dla bliskiego sąsiedztwa — panu Zefirowi jako człowiekowi młodemu i dalszemu sąsiadowi, bo z trzeciego

III.



Naiwne czytelniczki.

piętra, poszło to trudniéj. Ale p. Zefir starał się o znajomość z p. asesorem, a tą drogą i do domu pani Janowéj wstęp otrzymał.

Pierwszemi zatem konkurentami o pannę Katarzynę był stary asesor i młody Zefir, z obydwoma wypada nam tu poznajomić czytelnika.

Pan asesor był stary kawaler blisko sześćdziesięcioletni, osiwiały, ale w wielkich pretensjach młodości, grał na gitarze, śpiewał arje włoskie i hiszpańskie, w większéj części swego układu.

Nie przyznawał się on do swego wieku, liczył sobie zawsze lat 38, a siwiznę przypisywał swoim ranom odebranym w głowę na ziemi hiszpańskiéj pod Napoleonem, a w skutek tego niewolę w Kadyxie i leczenie oliwą w tamtejszym szpitalu. Nie wiek zatem lecz oliwa sprawiła mu siwiznę.

Zwracano uwagę asesorowi, jako w późniejszym on zapewne jest wieku, gdyż w stosunku czasu kampanji hiszpańskiéj do roku w którym wiek swój oznaczał, byłby za młody do znajdowania się w szeregach wojskowych. To jednak nie odstręczało go od swego twierdzenia. W dziwactwach swoich był on upartym.

Odbywał on w rzeczy saméj kampanję hiszpańską, ale szczególnie dziwne rzeczy opowiadał z czasu pobytu swego w Hiszpanji. Między innemi twierdził, jako na własne oczy widział w Kadyxie na jednéj z uroczystości tamtejszych, jak złowiono wieloryba w wielką złotą beczkę. Opowiadał on osobliwe swe przygody romansowe, w których wystawiony był na czyny nadzwyczajne, zwane przez niego bohaterskiemi. Były to rzeczy zmyślone; ale w saméj istocie czyny nadzwyczajne dni naszych, jeśli tylko samą nadzwyczajnością cechują się, to napewno są fikcją. Opowiadał on audjencję swoją u Napoleona w Paryżu, gdy jako porucznik piechoty, aż tak daleko udawać się musiał żądając dymisji z powodu niezmiernéj jego ówczas chęci żenienia się. Ani książe Józef Poniatowski, ani też żaden marszałek Francji, nie chciał mu udzielić dymisji dla ciągłych ówczesnych wojen i ztąd potrzeby zdatnych oficerów; zmuszony więc był udać się do Napoleona. Ów wielki monarcha po wielu wzdraganiach się, udzielił mu wreszcie żądaną dymisję, a wręczając własnoręcznie takową, wyrzekł brzmiące dotąd w jego uszach wyrazy: „Żeń się dzielny żołnierzu! ale żeń się szczęśliwiéj odemnie, abyś miał potomstwo i nie był zmuszonym jak ja szukać innéj żony dla podtrzymywania dynastji. Żeń się! i niech synowie wnukowie twoi walczą za sprawę moich synów i wnuków.

Od tego czasu pan asesor liczył sto narzeczonych; każdéj powtarzał pamiętne słowa wielkiego monarchy, ale z każdą dla stu różnych powodów, rozchwiało się zawsze bliskie przyjście do skutku najdroższych pragnień jego serca.

Pan asesor miał rangę asesora kollegjalnego, ale obok tego tytuliku z którym wszędzie występował, miał bardzo małą pensyjkę w jednéj z dykasterji biórowych, i zaledwie zdołał opędzić nią mierne swe potrzeby. Skąpstwo i posiadanie gotówki było tylko fałszywą opinją, powstałą może w skutek słusznéj opinji o wspomnianym przez nas radzcy skąpcu i dusigroszu.

Pan asesor nie ożenił się może dotąd dla trudności warunku jaki kładł do spełnienia tych ciągłych pragnień swego serca. On sam nic nie miał, był dziwakiem, i w dodatku był już siwym starcem—a pragnął poślubić pannę młodą, piękną, z wyższem ukształceniem i posagiem.

— Jakże byłoby mi przykro, mawiał, jeśli idąc do kościoła z moją żoną, ktoś potrąciłby ją przez nieuwagę — jadąc do kościoła powozem, uniknę téj nieprzyjemności.

Szukał zatem panny posażnéj.

Wieść o majątku pani Janowéj, tak bliskiéj jego sąsiadki, przejęła go myślą żenienia się z jéj córką.

— Jak tu zabrać znajomość z tą panienką, rozmyślał jednego zimowego wieczoru, siedząc pociemku w swoim pokoju.

Asesor wynajął kiedyś w tym domu całe drugie piętro od ulicy. Mieszkanie składało z dwóch pokoi, jeden o dwóch oknach a drugi o jednem oknie, oraz z ciemnéj kuchenki. Mieszkanie tak obszerne na jedną a niezamożną osobę, wynajął z powodu bliskiego wejścia w związki małżeńskie z dziewięćdziesiątą dziewiątą swoją narzeczoną, ale to zawiodło go dla dziewięćdziesiątéj dziewiątéj przyczyny. Wkrótce po wprowadzeniu się na ulicę S-to Jańską, dziwactwa jego stały się głośnemi w całym domu, a także i w sąsiedztwie, powód tego był następujący.

Asesor wówczas, a było to w porze letniéj, chcąc odnająć pokój o dwóch oknach, napisał dość nieczytelnie pomimo wielkich liter, kartę wynajmu w następujących słowach:

„Do wynajęcia każdego czasu dla kawalera przy małżeństwie bezdzietniem, pokój duży o dwóch oknach na drugiem piętrze od ulicy. Wiadomość codziennie od godziny 3-ciéj do 7-méj po południu u gospodarza tegoż, mieszkającego na 2-giem piętrze."

I asesor wiernie od godziny 3-ciéj do 7-méj po południu nie tylko był w domu, ale nadto wyglądał lufcikiem; a gdy kto tylko z przechodniów podniósł oczy na kartę, już on zaczepiał go w tych mniéj więcéj słowach:

— Panie! panie! to u mnie to mieszkanie do wynajęcia. Pokój duży, ciepły, latem nie

pali się w piecu, chciałem powiedzieć w zimę można nie palić, jeśli kto nie chce. Patrz pan! te okna obok mnie; szyby całe nie powybijane, podłoga drewniana, zamek na dwa spusty zamyka się, a możesz pan i zasuwkę przybić.

I często interesant podniosłszy brodę do góry, a potrącany od przechodniów, prowadził przerywaną gawędkę z asesorem. Najczęściéj wywiedziawszy się szczegółów, odchodził bez fatygowania się na drugie piętro.

W tym punkcie miasta, to jest naprzeciw kościoła katedralnego, miał podówczas księgarnię Nowolecki (ojciec). Do tego gniazda antykwaryjnego, znanego podówczas z wielu drogocennych dla wiedzy zabytków, zbierało się wielu początkujących pisarzy na pogawędkę literacką, na obejrzenie czegoś, a nawet na potargowanie i kupno.

Tam spotykaliśmy wielu żyjących dotąd, a niektórych dziś już ustalonéj opinji pisarzy.... tam poznaliśmy innych także, którym losy dały w udziele skrzydła Ikara.

W tym czasie przypadało także odnajmowanie komornego przez asesora. Bawiło to wielu literatów, którzy w przysłuchiwaniu się gawędce asesora, mieli więcéj jeden powód do odwiedzania księgarni Nowoleckiego.

— Niektórzy też przez psotę wybierali się umyślnie odczytywać kartę wynajmu.

— Panie! panie! to u mnie mieszkanie do wynajęcia, woła asesor na wysłanego przez nas dowcipnisia, wówczas gdy my pod księgarnią przysłuchiwaliśmy się gawędce.

— To u mnie! woła asesor. Pokój duży, widny, ciepły.....

— A co to tu napisane, że przy małżeństwie bezdzietniem?

— Bo tak jest w rzeczy saméj!

— A może pan będziesz miał dzieci?.....

— Kiedy nie mam żony!

— A to przy jakiem małżeństwie; to może nie u pana ten pokój do wynajęcia?

— Ale mój panie! Ja wkrótce ożenię się, to przecież jakiś czas będę małżeństwem bezdzietniem. Rozumiesz mnie pan?! Wypadło mi napisać przy małżeństwie, żebyś pan późniéj nie miał do mnie pretensji gdy ożenię się. Rozumie się, zczasem będę dzietnym.

— A może pan do śmierci będziesz bezdzietnym.....

— Mój panie! gdybym ja się ożenił jak byłem w Hiszpanji, to dotąd miałbym takich synów jak wacpan jesteś.

— A może pan miałbyś same córki.....

— Idź mi asan z oczów. Tu nie ma dla asana mieszkania.

I przystąpił znów kto inny z nas do czytania karty wynajmu, a na wezwanie asesora, spytał.

— Czy to mieszkanie jest przy małżeństwie bezdzietniem?

— Tak, bezdzietnym! bo ja dopiero mam się ożenić.

— A czy pan młodą i ładną będzie miał żonę?

— A co wacpan masz w tem za interes!

— Bo nie wiem, czyli mam wynająć mieszkanie.....

— A to znowu co nowego! Czy to wacpan jesteś w Hiszpanji? Mój dobrodzieju, tu Warszawa! Tu nie brak kijów na takich sublokatorów. A to mi się podobało! Idź asan z Bogiem póki się nie gniewam! A to ja w Kadyxie nic podobnego nie słyszałem....

— A proszę przez okno nie rozmawiać? woła dozorca policyjny, widząc, że gromadka przechodniów zatrzymała się podnosząc brody do góry. — Rozchodzić się panowie! rozchodzić się! A pan tam zamknij lufcik.

— A jakie to przepisy nie pozwalają lufcików otwierać? spytał asesor dozorcy.

— Przepisy nie dozwalają dawać powodu do nieporządków ulicznych, odrzekł dozorca. Pan nie wykrzykuj przez okno.

— Niech mi taki młokos nie gada niedorzeczności. Powiada, że wynajmie mój pokój, jeśli ja ożenię się z młodą i ładną; a czy to przepisy policyjna na to pozwalają?

— Rozejść się, panowie! rozejść się! powtórzył dozorca.

I powrócił znów porządek, dokąd ktoś inny nie zaczął czytać karty wynajmu dużego pokoju przy małżeństwie bezdzietniem.

Nakoniec właściciel domu uważając asesora za nieodpowiedniego do opłacenia całego komornego, i widząc, że on sam odnająć nie może połowy mieszkania, wziął na swe ryzyko odnajęcie, czego z własną korzyścią i bez dziwactw dopełnił.

Asesor uwolniony od tego kłopotu, znalazł inny, jaki miewał razy tyle w swem życiu— kłopot ten stanowiła mu jego piękna i posażna sąsiadka.

— Jak tu zabrać znajomość z tą panienką, rozmyślał, jak wspomnieliśmy jednego zimowego wieczoru.

Było to koło godziny 7-méj wieczorem, ale dla oszczędności światła, asesor zajęty swoją myślą, siedział pociemku.

— Dla mojéj dziewięćdziesiątéj dziewiątéj panny wynająłem to mieszkanie, rozmyślał, ale nie przyszło do skutku żenienie się. Od tego czasu i setna partja ominęła mnie. Ileż to człowiek doznał zawodu od czasu widzenia się z Napoleonem! On po swoich przegranych dostał się na wyspę Elbę — ja po stu moich odkoszach, ot w tym tu jestem pokoiku pociemku. On raz jeszcze sprobował .....los zawiódł go i dostał się na wyspę ś. Heleny— ja raz jeszcze sprobuję..... a jeśli los mnie

zawiedzie, dostanę się do Bonif....... O! zaprawdę..... tyle wycierpieć, to trzeba zwarjować. Tak! dobrze mówię. Jeśli raz jeszcze los mnie zawiedzie, to dostanę się do Bonifratrów. To będzie sto pierwsza panna na którą oczy podnoszę! Liczba sto jeden jest symbolem tryumfu. Sto pierwsza moja panna, będzie moją żoną.

— Jakże tu zabrać znajomość z tą panienką, myślał dalej, pani Janowa zna mnie cokolwiek. Razy kilka spotykaliśmy się w ciemnéj sieni; mówiliśmy sobie dzień dobry, dobre południe, a nawet dobry wieczór. Raz zapaliłem u niéj świecę, a dwa razy pożyczyłem od niéj zapałek..... możeby pójść teraz oddać te kilka zapałek?..... ale sam ich nie mam wiele w domu. Nie! tu trzeba tak począć, żeby odrazu zdobyć serce panienki. Ona ma sto tysięcy, a ja wiek odpowiedni do żenienia się.

— Ot, myśl wyborna! zawołał zdejmując swoją gitarę ze ściany. Ona jest muzykalna, słyszę często głos fortepjanu z jéj salonu, słyszę jéj śpiew. Udam się do niéj w sprawie sztuki tak nadobnéj jak muzyka; ona grać będzie na fortepjanie, a ja na gitarze. Harmonja naszych dźwięków będzie węzłem serc naszych. Tak! otóż zdobędę to serce! otóż ożenię się nakoniec! otóż dostanę sto tysięcy!

I asesor upojony tą myślą, wybiegł z gitarą, zamknął wprędce drzwi swego mieszkania i za chwilę był już w pokoju swéj sąsiadki.

Asesor był dziwakiem, był oryginałem jak go poznajemy. Mieszkańcy Warszawy, a zwłaszcza okolic Starego Miasta, znali w téj epoce asesora już osobiście, już też z opowiadań różnych o nim dziwactw. Przeszłość jego okrytą była tajemnicą z powodu osobliwych, a tem samem zmyślonych opowiadań jego samego o swéj osobie. Przeszłość każdego oryginała, każdego dziwaka jest tajemnicza—jest zaś nią nie dla tego iżby obejmowała fenomena, ale, że była pasmem dziwactw nic nie wartych w obec rzeczywistości i zatartych nowemi oryginalnościami spuszczającemi zasłonę na przeszłość bez zasługi.

O asesorze to tylko jest pewnem, że odbywał kampanję hiszpańską, czyli jednak był w niewoli w Kadyxie?..... może to również było bajką jak inne. Czyli on miał obecnie rangę asesora? to również było wątpliwem, ale on sam tak mówił o sobie i pod tym tytułem znano go powszechnie.

Pani Janowa znała więcéj asesora z opowiadanych o nim przygód, niż osobiście pomimo bliskiego sąsiedztwa. Panna Katarzyna chciała chętnie bliżéj poznać tę oryginalną osobę, i teraz też asesor z gitarą w ręku, ujrzany był jako gość pożądany w mieszkaniu swoich sąsiadek.

Pani Janowa zajęta była robótką ręczną, a córka jéj czytała jakiś romans, gdy nagle asesor zachwycony swoim pomysłem zdobycia szturmem serca panny Katarzyny, wpadł jak bomba do ich pokoju.

— Pan asesor! zawołała pani Janowa z wyrazem podziwu.

— Ja sam, szanowne panie! odrzekł asesor. Zamiar szczytny a myśl chlubna wiedzie mnie w progi zacnego sąsiedztwa. Szanowna panienka tego domu gra na fortepjanie jak Orfeusz a śpiewa jak Syrena. Często w mojéj kuchence siadam na kominku gdy śpiewa panienka, i upojony tym rajskim nektarem płynącym mi przez uszy, zasypiam snem słodkim, a późniéj godzin kilka myć się muszę ze sadzy w tym kominku odwieczną warstwą porosłych. Myję się i smolę, i znów smolę i myję, bo sam jestem muzykalny, bo talent ocenić potrafię i ponosić dla niego ofiary. Dziś zatem przybywam w te progi, bliżéj ocenić ten dar niebios i na méj gitarze odwdzięczyć się pięknem za nadobne.

Pannie Katarzynie podobały się te słowa pochlebne, lubo dziwacznie wypowiedziane, uśmiechem też zadowolenia odpowiedziała na słowa asesora. Pani Janowa nie podzielała myśli swéj córki, jednakże słowy grzecznemi prosiła siedzieć swego gościa.

— Przepraszam szanowne panie za brak etykietalnego ubioru, mówi daléj asesor. Powinienem był z pierwszą wizytą ubrać się we frak czarny, ale mam tylko granatowy biórowy.....

— My mniéj dbamy o ceremonje, odrzekła pani Janowa. Siadaj pan z łaski swojéj.

Panna Katarzyna rada była zabierającéj się znajomości z sąsiadem dziwakiem, dla urozmaicenia sobie gawędką z nim często nudnych zimowych wieczorów.

— Przepraszam szanowne panie za mój ubiór, mówi znów asesor siadając na krześle, ale nie suknia zdobi człowieka!

— Bardzo słusznie! rzekła panna Katarzyna. Nas tu wyłącznie zajmuje gitara z którą pan przybył do nas. Jest to niezawodny dowód zamiłowania pańskiego w tym instrumencie, i wpaja w nas przekonanie, że usłyszemy piękny dźwięk jego.

— O! z największą przyjemnością śliczna pani! zawołał asesor kładąc gitarę na stole. Wpierw jednak, mówi daléj, rozważmy co to jest gitara.... To zdobywca serc płci nadobnéj. Na dowód opowiem pani, że będąc w Kadyxie w niewoli, śpiewałem piękną arję z okna méj wieży zawsze o zachodzie słońca, a naprzeciw krańców południowéj Europy, na wybrzeżach Afryki w Maroko, cudna Czerterksesa, córa władzcy Marokańskiego przysłuchiwała się memu śpiewowi z okien swego złotego pałacu. Głos mój biegł po

zwierciadle Atlantyku, przez spiekłe wybrzeża Afryki i echem opierał się o Maroko. Czerterksesa zakochała się w tym moim śpiewie! To była pierwsza moja narzeczona; ona wyjednała mi uwolnienie z niewoli hiszpańskiéj, dla niéj jeździłem do Napoleona po dymisję—ale jakiś okrótny królik z nieznanych krajów środkowéj Afryki, wykradł ją pod ten czas méj podróży.

— Jakże bolesną poniósł pan stratę! zawołała ze śmiechem panna Katarzyna.

— O! tak, to była wielka dla mnie strata, rzekł daléj asesor z westchnieniem. Władzca Marokański nie miał synów, koronę miał odziedziczyć mąż pięknéj Czerterksesy. Dla niéj wziąłem dymisję z wojska, przybyłem do Maroko..... ale biada mi! nie zastałem już méj ukochanéj. Sułtan wiedząc o naszéj miłości, chciał mi dać swoje wojska, abym szedł w kraje nieznane odszukać tego królika. Cała Barbarja chciała mi dać posiłki, i może powtórzyłoby się oblężenie Troi z wieków dalekiéj starożytności..... ale jedna okoliczność wstrzymała mnie! Idąc w kraje nieznane mógłbym spotkać w mym pochodzie ślady małp, jak niegdyś Aleksander Wielki w wyprawie do Indji wschodnich. On już szykował swą zwycięzką armję do boju, lecz wyprowadzono go z błędu, że to nie były wojska nieprzyjacielskie..... a gdyby też przy moim boku brakło mądrego doradzcy?

— Zapewne! ważny powód, rzekła z uśmiechem panna Katarzyna.

— Stało się! dodał z westchnieniem asesor.

— Pan musiałeś długo opłakiwać tę stratę.

— Nie zbyt długo, bo wkrótce trafiła mi się druga narzeczona!

Spotykamy niekiedy oryginałów.... Pierwsza z niemi znajomość bawi nas—lecz w dalszym czasie nudzi taż sama oryginalność, jako rzecz niewłaściwa w życiu powszedniem.

Jednakże każdy rad poznać oryginała; każdy lubo przez chwilę, ale chętnie bawi się cudzem dziwactwem.

Zmyślone opowiadania asesora, a wreszcie i prawdziwe jego przygody, były jakoby resztką epoki średniowiecznéj, odbijającą się w wieku jeszcze naszym pod godłem nadzwyczajności. Czyny te pragnąc zatrzymać nazwę bohaterstwa, są tylko dziwactwem w zdrowem pojęciu naszego czasu.

W myśl powyższą, pani Janowa i córka jéj nie rade były słyszeć opowiadania asesora o drugiéj jego narzeczonéj; i zaraz też po jego wspomnieniu o łzach osuszonych, spytała panna Katarzyna.

— Ile pan miał narzeczonych.

— Sto! zawołał asesor w odpowiedzi na to pytanie.

— Sto! powtórzyły z zadziwieniem matka i córka.

— A jeśli awantury z każdą z tych narzeczonych są tak szczególne, jak o pierwszéj słyszałyśmy, dodała panna Katarzyna—to mogłaby powstać historja jako tysiąca nocy i jednéj, tak tu stu narzeczonych.....

— I jednéj jeszcze!—przerwał wprętce asesor; bo po stu następuje mi jedna jeszcze; ale ta będzie już ostatnią, dodał spoglądając się figlarnemi oczyma na pannę Katarzynę, przyczem uchwycił gitarę leżącą na stole, i po pierwszym akordzie zaczął śpiewać.

O! Meduzo, zo, zo, zo, zo, zo, &c.
Meduzo!
Meduzo!
Me e. e. e. du. u. u. u. u. zo. o. o. o. o. O! o. o. o.
o. o. o. o. o. o.

— Któż to jest Meduza! zawołała ze śmiechem panna Katarzyna.

— Ja porównywam panią do pięknéj Meduzy! odparł przerywając sobie śpiew asesor.

— Meduza była poczwarą!

— Ach! pani. Meduza była boginią piękności, kupców i złodziei.

— Czy pan nie śpiewa po polsku?

— Chętnie zaśpiewam pani mego utworu arję, którą niegdyś z téj strony Pireneów śpiewałem tak często u nóg nadobnéj wdówki, bankierowéj de Valé, mojéj drugiéj narzeczonéj.

Asesor uderzył w struny nutę pieśni o Filonie, i zaczął śpiewać.

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
A któż tam klaszcze za borem?
Pewno mnie czeka *asesor* miły,
Pod umówionym jaworem."

I pod koniec téj zwrotki, asesor tak romansowo spojrzał na pannę Katarzynę, że ta aż wybuchnęła głośnym śmiechem. Pani Janowa poznawszy teraz myśli sąsiada, nie rada była próżnemu mąceniu serca swéj córki, jednakże wstrzymać się także nie mogła od śmiechu.

Asesor był już w wieku podeszłym, średniego wzrostu, wychudły, z wypłowiałemi oczyma, z których resztą światła jakoby z za mgły świętojańskiemi robaczkami, błyskał jeszcze zalotnie.

Posagowa piękność panny Katarzyny ożywioną została zalotnością asesora. Piękność ta przechodziła teraz w romanyzm, znajdując w pierwszym swoim jawnym wielbicielu śmieszną rzeczywistość w miejsce szczytnych ofiar, poświęceń posuniętych do zaparcia się i wielu jeszcze okropności i wiele tragedji wymarzonym o swym pierwszym lubym na wzór ówczesnych romansów. Wprawdzie przeszłéj niedzieli była panna Katarzyna u swéj cioci, tam dostrzegła jako nie jest obcą dla pana Atanazego—jednakże powaga i szlachetność malująca się w nim, nakazywały jéj szacunek ale nie miłość. O nim wątpić nawet wy-

padało, czyli kochać umie — a pan asesor śmiesznie ale jawnie otwiera swe serce.

Już pięć lat dobiegało, jak niegdyś dwie wdowy przybyły do Warszawy. Pani Piotrowa zmieniła się, nie na swoją korzyść; cera jéj była zwiędłą, już przez słabość swoję, już też przez kłopota pieniężne—tego wszystkiego nie doznawała pani Janowa, to też prawie nie zmieniła się od czasu swego przyjazdu do Warszawy. Ona miała teraz córkę na wydaniu—w jéj domu też poczynało się wesołe życie. Spotykamy tam asesora po opowiedzeniu przygód z pierwszą swoją narzeczoną, śpiewającego teraz *Filona*, albo też według niego *asesora*. Opowiadał on następnie audjencję swoją u Napoleona i pod jakiemi warunkami wielki ten monarcha kazał mu się żenić. Pani Janowa i córka jéj były ożywione opowiadaniem i śpiewaniem staruszka. On sam bawił się najlepiéj, zachwycony był uprzejmością gospodyni domu i jéj córki, uważał się za zdobywcę sto pierwszego serca; wnosił, że mu to zbyt idzie łatwo; ale nie wiedział biedak na jakie przygody wystawiony będzie w swoim sto pierwszym romansie! My to opiszemy w dalszym ciągu, i dla tego też poczynając nowy rozdział, dajemy mu nagłówek.

IV.

Co dalèj działo się u pani Janowèj.

Wiemy, że drugim konkurentem panny Katarzyny był p. Zefir sąsiad z 3-go piętra, zamieszkujący tam przy familji. Wypada nam poznajomić czytelnika z tym nowym bohaterem naszego opowiadania.

Pan Zefir ukończył szkołę powiatową na prowincji, gdzie zamieszkiwał w miasteczku przy swoich rodzicach. Jeszcze z lat szkólnych odznaczał się scenami romansowemi, a przedewszystkiem kłamstwem tak dobrze ułożonem, że ludzi dojrzałych wywodził niem w pole. Tą drogą robił w miasteczku długi na setki złotych, i to powtarzało się u tych osób, które wyprzysięgały się wchodzić z nim w jakie interesa. Wiedziano, że sam nie odda; wiedziano, że ojciec za niego nie zapłaci, a jednakże wszędzie miał kredyt otwarty!

Najprzykrzejszem dla Zefira było plotkarstwo małego miasteczka. Co gdzie się stało, to już wszyscy wiedzieli; ile razy za swoje romanse, figle lub wywodzenie w pole, miał przy dwóch świadkach konferencję z ojcem swoim, to już wszyscy wiedzieli w całem miasteczku, że świadkami byli stróże, a ojciec rachował do dwudziestu pięciu.

Jakże tu żyć w takim świecie człowiekowi, który chciał mieć przecie swoje tajemnice!

Po skończeniu czterech klas szkoły powiatowéj, nie można było wiele myśleć o dalszéj edukacji. Z klasy czwartéj po dwuroczuym pobycie, ledwie się wyszło kominem jako weszło się piecem. Ojciec był mieszczanin nie zbyt zamożny, synowi meszek puszczał się; a ten ojciec zawsze miewał z nim konferencje po dowiedzeniu się o jakim jego figlu.... Ba! dowiedzieć się też nie trudno w małem miasteczku, to i konferencje częste bywały.

Nakoniec jedna z nich była już ostatnią.

Syn postanowił opuścić małe miasteczko i udać się do Warszawy, aby tam znaleść jakie zatrudnienie zapewniające mu byt niezależny. Ojciec zezwolił na to i rzekł mu na drogę:

— Dawno już myślałem o potrzebie wydalenia cię z domu. Idź w świat! Napisałem list do pana Nóżki naszego dalekiego krewnego niegdyś urzędnika sądowego, a dziś spadłego z etatu; otrzymałem odpowiedź, że cię pokieruje na ludzi, niech więc sprobuje, gdy ja już z tobą nie poradzę. Żyd odwożący cię, wręczy p. Nóżce pieniądze na utrzymanie cię przez kwartał. Przez ten czas wystaraj się o jaką czynność, abyś zapracował na utrzymanie. Wiedz, że po kwartale czasu o własnych siłach w świecie iść będziesz. Nie mam tego na sumieniu żeś łajdak, bo żadnego łotrowstwa nie przebaczyłem ci, teraz idź w świat, a niech cię obcy ludzie i bieda żyć nauczą.

Młody Zefir uronił łzę odbierając na drogę błogosławieństwo rodziców, ale łza ta została osuszoną przez matkę, wetknięciem mu skrycie przed ojcem pięciu dukatów w złocie. Ojciec nic nie dawał synowi do ręki, bo wiedział, że on wszystko straciłby jeszcze w drodze.

I Zefirek z suchem teraz okiem skoczył na bryczkę, na któréj leżał jego tłomoczek. Bryka w zakręcie ulicy zniknęła przed wzrokiem zapłakanéj matki, starego ojca, roniącego łzę także i smutnéj czeladki.

Młody Zefir trząsł się na swojem siedzeniu przez odskakiwanie bryki po nierównym bruku, ale rachował dukaty aż do pięciu, wsypał je następnie do bocznéj kieszeni surduta, a papierek którym złoto było owinięte, puścił za wiatrem wraz z resztą tęsknych myśli powstających przy opuszczeniu rodzinnego gniazda.

Po zakręcie ulicy następowała inna kręta ulica, a dalèj już wprost jechało się do rogatek. Przed rogatkami bryka zatrzymała się, bo z domu na lewo żyd miał brać pewne pakunki do Warszawy; na prawo rogatki była oberża, a przed nią stali pięciu towarzyszy zabaw Zefira, a nawet poprzednio jeszcze jego towarzysze oślèj ławy i szkólnéj koziennicy.

Był to kwiat młodzieży tego miasteczka!

— To już Zefirku nas opuszczasz! wołają jego towarzysze.

— Tak bracia kochani! jadę do Warszawy po moją schedę. Dobrze żeście się tu zebrali! Dalejże do oberży! Pochulamy na drogę! Ja spać będę na bryce jadąc do Warszawy, a was wyrzucą na nocleg w kałużę tego miasteczka. Będziecie mnie pamiętali!

— Hura Zefir! hura! zawołała wesoła gromadka.

I wszyscy weszli do oberży!

— Wina! kosz wina! woła Zefir na oberżystę, spostrzegłszy go w sali bilardowéj.

— Zapewne! mruknął półgłosem oberżysta. Nie dam się teraz wywieść w pole; nic ci nie uwierzę..... a moje 200 zł. za trunki, śniadania i bilard.

— Hejże gapiu jeden! woła Zefir na markiera. Nie słyszysz, że wołam wina! Masz tu dla ciebie za usługę, a zwijaj się na jednéj nodze.

Z końcem tych słów, Zefir sięgnął do bocznéj kieszeni surduta, wyjął ztamtąd pięć dukatow i sypnął złoto na stół bilardowy.

— Bierz to dla ciebie! dodał znów, a znaj służbę przy dobrym panu. Gdy wołam wina, to przynoś najlepsze!

Oberżysta, markier i towarzysze Zefira zostali zachwyceni hojnością, a tem samem i bogactwem niedawno lekceważonego chudego pachołka. Markier pochwycił złoto i pobiegł wypełnić rozkazy tak szczodrego pana.

— Zefirku drogi! zawołał jeden z jego towarzyszy. Zkąd ty masz tyle pianiędzy?

— Pieniędzy! powtórzył z ironją Zefir. Czy to są dla mnie pieniądze? Beczki złota czekają na mnie w Warszawie. Stryjaszek mój, stary skąpiec umarł w Ameryce i dla mnie samego zapisał 50 miljonów dukatów, które odszukał w swojéj kopalni złota. Pieniądze! zawołał znowu z pogardą. Czyż to są pieniądze?! Przed godziną przyszła ta wiadomość do naszego miasteczka i zaraz wszyscy procentowicze biegli do mnie z pożyczkami, alem wszystkich odtrącił. Nie znaliście mnie dawniéj!... ja dziś was nie znam, zawołał, i w swéj egzaltacji wyrzucił oknem butelkę wina, którą właśnie markier postawił na stoliku.

Poprzednie rzucenie złota, a teraz brzęk szyby i butelka z winem stłuczona, nakazywały wszystkim uwierzyć w kopalnię złota nieboszczyka stryjaszka z Ameryki i zapowiedziane 50 miljonów.

— Nie znam was! zawołał powtórnie Zefir. Nie chcę od nikogo pieniędzy, bo wszystkich w złocie mogę zagrzebać! Od jednego tylko poczciwca wziąłem na podróż do Warszawy garść złota i kilka listów zastawnych dwudziesto tysięcznych, mówił dalej Zefir wytrząsając paczką papierów obejmującą jego paszport, świadectwo szkolne, mętrykę i kilka jeszcze osobistych dowodów służyć mających do wejścia na aplikację do jakiego biura w Warszawie.

— Wziąłem to czyniąc łaskę, dodał. Wziąłem bez żadnego kwitu a oddam dziesięć razy, sto razy tyle.

— Wina! zawołał. Precz z kieliszkami! Szklanek! Wina kosz jeden, drugi i dziesiąty! Kto żyje niech pije i niech zna pana!

I wkrótce wino lało się strumieniami, i było dosyć takich co pili. Oberżysta nadskakiwał miljonerowi; żyd woźnica pił wino i wziął go kilka butelek dla siebie na drogę. Markier i oberżysta potracili głowy przy tym nowym Krezusie; nikt nie spostrzegł, że on jedzie bryczką żydowską, nikt żyda furmana nie spytał się o jaki szczegół swego tak bogatego pasażera; wszyscy zajęci byli słuchaniem jego wykrzykników, a zwłaszcza wszyscy ogarnięci byli żądzą korzystania czegoś z tak wielkiego, a tak rozrzutnego pana.

Oberżysta zazdrościł w duchu temu szczęśliwcowi co zdołał pożyczyć garść złota i listy zastawne..... On rad byłby zastąpić go bodaj całem swem mieniem..... Ale ten miljoner pożyczki wziąść nie zechce..... Jednakże w drodze może zabraknie mu jakich prowjantów żywności, w które jego oberża tak jest zaopatrzona. Dalejże oberżysta czyni w sposób delikatny tę małą uwagę miljonerowi.

Zefir w gruncie nie był oszustem; on był tylko lekkomyślnym łgarzem, a kłamał z takim ogniem, że *honny soit qui mal y pense.* On teraz przybywszy do oberży, bez żadnéj myśli na przyszłość rzucił markierowi pięć dukatów.... On bez żadnych złych zamiarów skłamał o stryjaszku. Takie kłamstwa nie obmyślane, nie mające własnych widoków na celu..... graniczą z prawdą. On był dobrym kłamcą, a reszta była mu dodaną. Teraz np: on nie chciał okradać oberżystę, ale sam oberżysta sposobem kredytu, na tak miły rachunek dający się podwoić i potroić w przyszłości, powynosił na brykę Zefira: kosz wina, szynki, całe sery szwajcarskie, pudełka cygar i wiele jeszcze prowjantów, a nawet co miał w oberży chleba i bułek, aby nic jaśnie panu, jak mówił nie zabrakło.

Zefir przyjął niechętnie te dary, wsiadł na bryczkę, a towarzysze jego pijąc jakoby strzemiennego, krzyczeli *hura!* tłukli butelki i kieliszki o koła, a Zefirek ruszając z miejsca, wołał na oberżystę.

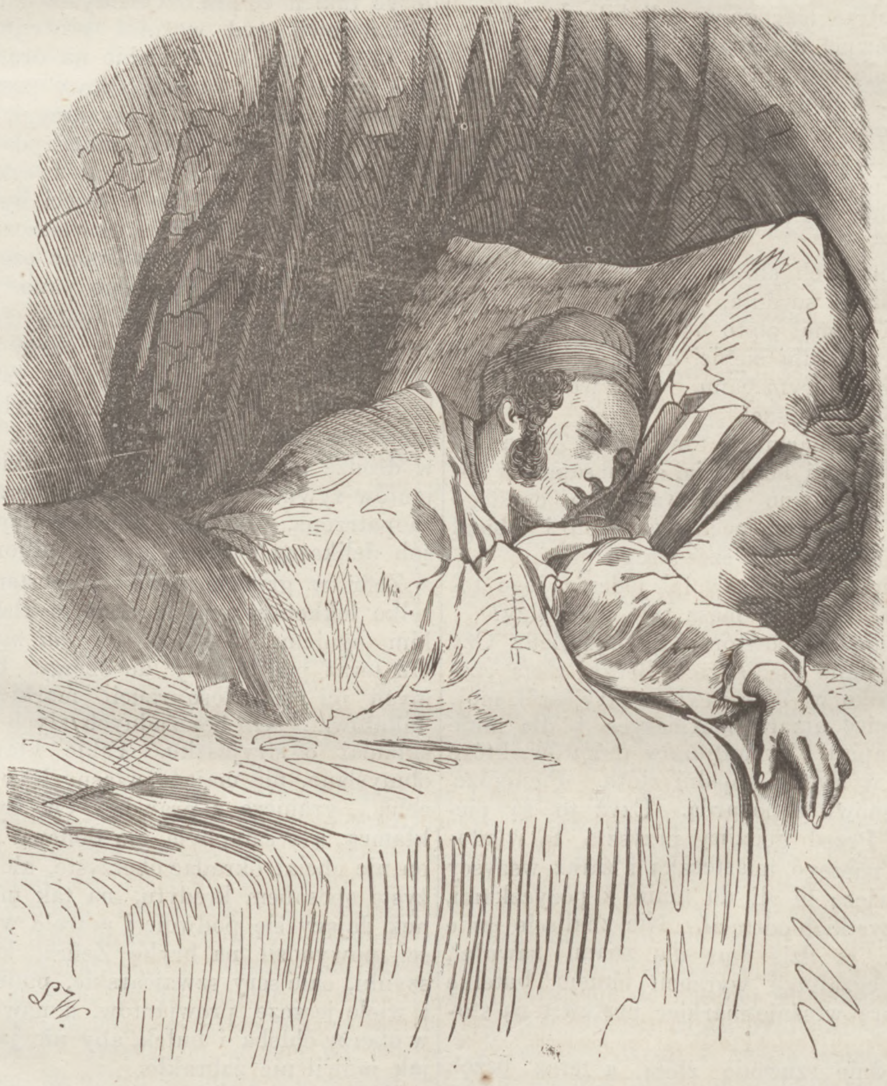
— Bóg wacpanu stokroć wynagrodzi! Dawaj wina moim przyjaciołom co tylko wypiją!

A przyjaciele też dobrze podchmieleni dziwili się dalej wielkiemu majątkowi Zefira, obmyślali dalej jakieby możliwe najwyższe korzyści ciągnąć z tak szczerego chłopca, i dalej pili wino, jedli zakąski i palili cygara na jego rachunek.

Zefir wyjechał pod wieczór, jak to zwykle żydzi wyjeżdżają w drogę. Stary ojciec jego wyszedł w godzinę po odjeździe syna na przechadzkę.

Łotr, bo to był łotr ten syn jego, ale zawsze był to syn jego..... żal więc ojcu było raz tak uprzejmie i każdy ma jakieś grzeczne słówko do powiedzenia. Starowina kłaniał się grzecznie nawzajem, i dziwiąc się téj uprzejmości tak znakomitych osób, skierował swe kroki ku rogatce, dokąd zwabiały go głośne okrzyki hura!

VI.



Najnowsze dzieło.

syna, i nie mogąc znaleźć sobie miejsca, wyszedł starowina na przechadzkę.

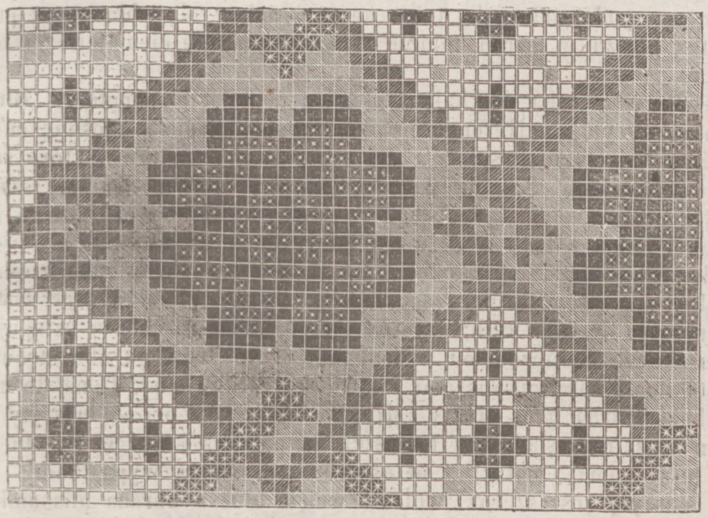
Było to w dobrą godzinę po odjeździe Zefirka, wieść o miljonach rozeszła się po całem miasteczku, i stary ojciec nie mógł się dosyć wydziwić dla czego spotykające go matedory miasta, które dawniéj nie raczyły spojrzeć na biednego mieszczanina, kłaniają mu się te-

Zaszedł tam wolnym krokiem, patrzył na szkło potłuczone przed oberżą, gdy właściciel domu zajezdnego wybiegł na jego spotkanie. Oberżysta zdjąwszy czapkę, stanął przed nim z odkrytą głową i rzekł nisko kłaniając się:

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XVIII, Kółka Domowego 1867.

Deseń na Kanwę.





1, 2, 3, 4, 5, 6.

Kolory: 1, jasny brązowy, 2, żółty, 3, ciemny brązkwy, 4, lila, 5, jasny zielony, 6, czarny.

Objaśnienie kolorowéj ryciny mód.

Fig. 1. Suknia z żółtéj gazy Chambery, garnirowana rozetami z żółtéj wstążki i białych pereł w pośrodku. Staniczek mocno wycięty z szarfą z materji ozdobioną także wiszącemi perłami. Kapelusz biały tiulowy z powiewną różową girlandą.

Fig. 2. Suknia z fijołkowéj materji garnirowana u dołu gwiazdami z aksamitu i pereł czarnych. Wierzchnia suknia bez rękawów z szarego poil de chèvre podpięta u dołu w zęby kwadracikami z czarnego aksamitu i pereł. Garnirowanie u pasa, szyi, rękawów i dołu sukni z frendzli dżetowéj. Kapelusik okrągły ryżowy opasany białą gazą.

Fig. 3. Suknia orzechowa w kolorze Bismarck. Druga jaśniejsza z wyciętym stanikiem z renwersem wyszytym pasmanterją czarną. Pasek w kolorze spodniéj spódnicy, okolony dużemi zębami garnirowanemi pasmanterją i frendzlą dżetową. Kapelusz koronkowy czarny z zielonym bluszczem.

Fig. 4. Suknia biała muślinowa na różowéj materji obszyta białemi koronkami. Kapelusik z koronek białych i różowéj wstążki.

Fig. 5. Ubranie do podróży. Suknia z szafirowéj popeliny obłożona materją w nieco ciemniejszym kolorze i przyozdobiona małemi stalowemi sprzączkami. Kapelusik biały bastowy okolony niebieskim powojem.

O UBIORACH.

Pomiędzy strojami jakie widzieliśmy w tych czasach w magazynie pana Pękali, przeważne miejsce zajmują suknie z ciężkich materji jako stosowniejsze ku jesieni. Krój ich po większéj części mało się różni od dawniejszych z wyjątkiem staników, które coraz bardziéj zaczynają zastępować

wciętemi do figury bluzkami opasanemi szerokim pasem. Suknia kostium z maron kaszmiru, spódniczka krótka zakończona u dołu ząbkami objętemi atłasem tegoż samego koloru, bluzka wycięta w kwadrat z małemi epoletami na ramieniu również w ząbki jak u dołu spódnicy, druga dłuższa spódniczka wychodząca z pod spodu jako też rękawy i dalszy ciąg bluzki aż pod szyję dane jest z pluszu w maron kolorze tylko w znacznie ciemniejszym odcieniu. Cena 48 rs.

Suknia węgierska dotykająca ziemi z popielatéj popeliny. Bluzka zachodząca pod szyję z odłożonym jednym rabatem zapięta ukośnie, całe przybranie téj sukni stanowi sutasz i galony jedwabne matowe, które są dzisiaj największą nowością. Z tych więc galonów i sutaszu dane są szamerunki węgierskie na rękawach, a na spódnicy dwie kieszenie oraz dwie kolumny po bokach i jedna z tyłu u dołu spódnicy· Cena 32 rs.

Suknia kostium: dolna spódniczka dotykająca ziemi zakończona u dołu szerokim wolantem, krótszą spódniczkę tworzą pliski czarne z wypnstką pąsową naszyte w tym celu; te na przodzie się rozchodzą ustępując miejsca fartuszkowi zakończonemu wolantem i przypiętemu po obu stronach spódniczki takiemiż samemi pliskami i guzikami stosownemi. Cena 38 rs.

Suknia czarna gros grains z długim ogonem. Z przodu naszyty kwadrat wolantem wązkim naśladujący fartuszek, w poprzek którego u dołu idzie 12 plisek z tejże samej materji z atłasowemi, czarnemi wypustkami; do koła spódnicy naszyty jest szeroki wolant. wcięta bluzka ubrana pliskami w promienie rozchodzącemi się od paska do połowy stanika szeroki pas z szarfą związaną z tyłu zakończa ten strój wspaniały, cena którego wynosi 100 rs.

Gabriela z fijołkowego kaszmiru mało wcięta do figury rozchodząca się z przodu. Przód sukni wzdłuż oszyty wstążką paljową i imitacją czarnéj koronki po wierzchu od któréj idą poprzeczne paski tworzące pół drabinki, na rękawach ubranie odpowiednie.

Paltot z kortu wełnianego w kolorze tygrysim z jednym rabatem koloru maron i z kieszonkami objętemi tymże samym aksamitem, rękawy proste paltotowe. Cena 30 rs.

Paltot syberynowy koloru maron blamowany do koła barankiem wełnianym, po nad którym znajduje się szeroki szlak wyszyty dżetem; rękawy podobnież ubrane. Cena 16 rs.

Słowem tak suknie jak paltoty najmodniejsze, zapinają się na boku z pewną fantazją. Uważaliśmy paletot tak zapięty z objęciem ciemniejszego aksamitu, co uwydatniało linję skośną na przodzie. Z lewéj jego strony u dołu był rozporek także objęty aksamitem, po prawéj zaś stronie kieszeń z klapą również obszytą. Co do sukien ma się rozumieć że tylko gabrjelle nadają się do tego spięcia na lewym boku. Zwykle też cały przód, tak spódnicy jako też i stanika jest ubrany. Niedawno widzieliśmy na osobie wysokiéj i szczupłéj, suknię tak zrobioną bardzo pięknie do jéj figury przypadającą. Była ona z wełnianéj popeliny, koloru, który z małą może odmianą babki nasze zwały cynamonowym, a my teraz na cześć pruskiego ministra zowiemy Bismarkiem. Z takiegoż koloru atłasu dane było wypuszczenie po dwóch stronach szerokich na cal plisek, które stanowiły wystrój. Cały przód naszyty był w drabinkę rozszerzającą się ku dołowi; po obu końcach każdego szczebla umieszczony był znacznéj wielkości guzik z pasmanterji, reszta zaś obwodu powłóczystéj spódnicy obszyta była temiż pliskami ułożonemi w zęby. W każdym rogu zęba, u dołu zewnątrz, a u góry wewnątrz

ich umieszczony był wielki guzik z sutą, długą frendzlą, co przypominało kutasy. Rękawy wąskie miały ze strony wierzchniéj po cztery naszycia z plisek. Stanik krajamy z jednéj sztuki ze spódnicą nie zupełnie przylegał w pasie lecz obciskał go pasek z szarfą tegoż samego materjału, zrobioną dubeltowo żeby była sztywna i przytwierdzoną do pasa z tyłu szeroką kokardą. Czasem takie szarfy i kokardy dają z boku. W ogólności to się spostrzega w modach dzisiejszych, że rękawy u paltotów dają coraz szersze, a suknię z przodu, szczególniéj powłóczyste coraz krótsze, tak że niedługo skoro tylko ogon odrzuconym zostanie, noga jak niegdyś będzie widoczną za kostkę.

Należy jeszcze wspomnieć o pięknych materjałach na suknie, nadeszłych do magazynu p. Pękali, które względnie do swojéj dobroci nie są nawet drogie. Suknie wąskie aby dobrze leżały wymagają materjałów mięsistych a lekkich i takiemi są te o których mówimy. *Wiktorja* ma zwykle gwiazdy sześciopromienne ciemniejsze na tle jasnem, a w środku nich drobne, jaskrawe punkciki; jest we wszystkich kolorach lecz szczególniéj w dzikich. Wools ma nitki poprzeczne pstre, to co nazywają *chiné*, w cenie od 80 do 90 kopiejek łokieć dochodzi. Flanelki we wszystkich kolorach lekkie i ciepłe są równie piękne ale droższe. Deseń ich, są to zwykle żyłki jakby na marmurze, jaskrawego koloru na tle ciemniejszém lub przeciwnie.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Sposób robienia krochmalu.

Pół korca pszenicy wypłókać czysto i wsypać po ćwierci w dwa naczynia lub jedno duże, nalać zimną rzeczną wodą i tak, żeby mokło 9 dni, w dzień wodę odlewać a świeżą nalewać i zawsze przemieszać. 10 dnia odlać wszystką wodę, wsypać w ceber duży lub wannę i deptać tak, ażeby wszystka pszenica pognieciona była, dopiero mocno wyciskać w rękach, potem przecedzić to przez sito nalać zimną wodą i wymieszać po odlaniu. To powtarzać przez dni trzy. Czwartego odlawszy z wierzchu wodę jeszcze ten rzadki krochmal zlać w woreczki, potém wyjąć, rozpostrzeć na prześcieradłach na słońcu, ażeby sechł i gęsty z pod spodu kłaść też w bryłach póki zupełnie nie wyschnie, a że pszenica nie wydepcze się dobrze, więc ten będzie lepszy czyli najpiękniejszy. Te same wyciski kładą się znów w balję i znów się depczą i wodą nalewają i robi się potem to samo co poprzednio, tylko w osobném naczyniu, to będzie krochmal 2gi. Po tym drugim jeszcze się raz depcze i to samo robi gatunek 3ci. Trzeba tylko uważać, aby nie pomieszali, bo będzie w nim różnica i pamiętać aby w przeciągu dni 9iu regularnie woda była odmienianą, bo inaczéj krochmal będzie żółty, i jeżeliby przez czas moczenia pszenicy były zimna, to nie dość zmięknie. Trzeba probować czy się dobrze gniecie, bo jak bardzo twarda to się nie udepcze, jak znów bardzo miękka, to krochmal nie piękny.

Sposób oddalenia ślimaków od grządek warzywnych.

Podczas dnia trzymają się zwykle ślimaki w trawie, dopiero pod wieczór wychodzą na grzędy warzywne, obsiadając najdelikatniejsze i najmłod-

sze rośliny. Aby im więc tę ich podróż ile możności utrudnić, posypuje się około grządek najwięcéj na napady wystawionych plewy jęczmienne, albo grube trociny. Te wstrzymują ślimaki od przekroczenia téj granicy, sieczka bowiem lub trociny oblepiają się na ich lepkiem ciele, i kłując je, zwracają z drogi,

Wygubianie pcheł ziemnych.

Dla uwolnienia ogrodu warzywnego od pcheł ziemnych służy następujący środek. Do trzech funtów nasienia, które siać zamyślamy dodaje się dwa łuty tłuczonéj siarki, miesza się razem dobrze i zachowuje tę mieszaninę w szklannem naczyniu dobrze zawiązanem. Pozostawiwszy to 24 godzin w spokojności, dodaje się znowu dwa łuty siarki tłuczonéj i pozostawia znowu w spokojności przez 24 godzin, poczem jeszcze raz powtarza się tę samą czynność. Tym sposobem w przeciągu 3 dni i nocy, do 3ch funtów nasienia dodaje się w 3 dozach 6 łutów tłuczonéj siarki. Czwartego dnia rozsiewa się nasienie tak przyrządzone, a nie obaczysz nigdy pchły albo innego owadu na roślinach.

Kapusta z serem.

Jeżeli główka kapusty jest duża, kraje się ją na 4 części po obraniu i opłókaniu, potem w gorącéj wodzie rozpuszcza się garść soli, i odrobinę sody i w tem gotuje kapustę, dopóki nie będzie miękka. Sos do niéj przyrządza się w sposób następujący: weź łyżkę masła, łyżkę mąki, pół kwarty mleka, ze 2 łyżki utartego sera zwyczajnego i mieszaj to wszystko na ogniu dodawszy jedno żółtko dopóki sos nie zacznie gęstnąć; tymczasem kapustę trzeba dobrze z wody odcedzić pilnując żeby nie ostygła i polać gorącym sosem, a ktoby chciał, może jeszcze wstawić w piec dla zrumienienia po wierzchu. Można podawać w taki sposób wszystkie gatunki kapusty, oraz i brokuły.

Jabłka z imbirem (po angielsku).

Jabłka renety obrać, pokrajać na ćwiartki i wyjąć z nich pestki; przeważyć je żeby na każdy funt jabłek użyć $^3/_4$ funta cukru miałkiego, 2 łuty korzenia imbiru białego w najlepszym gatunku, pokrajanego w drobne kawałki. Niech to leży razem przez dwa dni na salaterce, oprócz tego należy w $^1/_2$ kwarcie gorącéj wody namoczyć na 24 godzin trochę mniéj niż łut imbiru, trzymając naczynie nakryte. Następnego dnia wodę tę imbirową rozgrzać, włożyć w nią jabłka wraz z cukrem i imbirem, t. j. to wszystko co leżało przez 2 dni na salaterce i gotować dopóki jabłka nie będą przyzwoicie miękkie, pilnując wszakże, żeby się nie rozgotowały. W połowę ich gotowania dodać żółtą skórkę z cytryny cienko pokrajaną (na funt jabłek licząc 1 cytrynę). Gdy po wyjęciu jabłek syrop nie wydaje się dość gęstym, można go jeszcze dosmażyć. Ta konfitura ma smak wyborny lubo ostry.

Włożywszy w słoiki, nie trzeba je zawiązywać, aż po upływie tygodnia.



KÓŁKO DOMOWE
Październik 1867 r.